Nr. 39. We Lwowie dnia 25. Września 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

6)

„Pan Tadeusz“ Mickiewicza jako Epos.

VI.

Artystyczną cechą podobieństwa „Pana Tadeusza“ do epopei samorodnych jest epickie stanowisko, jakie zajmuje poeta, względem wielu opisywanych zdarzeń, ludzi, ich życia i obyczajów. W epoce, gdy poezja wydaje pierwsze wielkie dzieło, odbija ona zarazem młodzieńczy, choć do pewnego stopnia już urobiony pogląd na świat zewnętrzny. Młodość cieszy się z życia, patrzy na nie szeroko otwartemi oczyma, rozkoszuje się ponętami świata, spogląda na połyskliwą falę zdarzeń, jak pływak dzielny, co chętnie rzuca się w wir szumiącej rzeki. Epik pierwotny dodaje czasem do rzeczywistości tęcze legendowe, wybornie widzi to, co jest, ale nie stawia sobie pytania, dlaczego, to, co jest, jest takiem, a nie innem? Poematy Homerowe przedstawiając ludzi, ich czyny i namiętności, jak słusznie twierdzi pan Kazimierz Kaszewski, rozwiązują „nieświadomie a świetnie, ten może najpiękniejszy postulat sztuki, jakim jest prawdziwe obrazowanie ludzkości, przez podwyższenie człowieka, czyli przelanie rzeczywistości w ideał“.[1])

W „Iljadzie“ i „Odyssei“ roi się cały tłum postaci, oddanych z niezmierną plastyką i życiem. Czujemy tętno ich popędów, pragnień, pulsację żywej krwi w sercu i całą robotę duszy, o ile jednak występuje ona widomie w słowach i uczynkach. Oprócz tego z wielkiem zamiłowaniem poeta opisuje bitwy, rady wojenne, igrzyska, uczty, zwyczaje, urządzenie domów, sposobu żeglugi, roboty rolne, ubiory kobiet, zbroje bohaterów, cyzelując czasem drobiazgi z delikatnością wielkiego snycerza.

Epopeje indyjskie z natury swej nie są tak skąpane w realiźmie, opisując czyny i przygody bohaterów, mające często charakter nadludzki. Jak twierdzi Eihoff, francuski badacz literatury Indusów, w epopejach greckich niebo zniża się do poziomu ziemi, a w indyjskich ziemia podnosi się do wyżyn niebiańskich.[2]) O szczegółach życia realnego czytelnik dowiaduje się z nich jakby mimochodem, ale poznaje moralny nastrój społeczeństw, które rozwinęło wielką lotność myśli i fantazji. W „Nibelungach“ świat rycerski oddany jest dekoracyjnie w szeregu opisów uroczystości, pochodów, biesiad, turniejów i walk morderczych. Pieśni te były okrasą biesiad, porywały fantazję rycerzy, rzucających się śmiało na wielkie imprezy. Śpiewacy pomijali w nich szczegóły i drobiazgi, niegodne uwagi dostojników, albo dam dworskich, otoczonych czcią i galanterją. W „Nibelungach“ zarysy charakterów bledną wobec rwącego biegu wypadków.

Niezależnie od różnic epoki i rasy, epopeje pierwotne, zwłaszcza greckie i germańskie, mają tę wspólną cechę, że opowiadający kryje w nich swą postać i oblicze po za wzorzystą tkaninę przędzy poetycznej. Do tej przędzy używa on obrazów, opisów, opowiadań, porównań, przytacza słowa osób działających, ale od siebie nie wygłasza prawie sądów, nie zatapia się w refleksji po za wzorzystą tkaninę przędzy poetycznej, niezapuszcza się w głąb duszy ludzkiej, aby tam ukazać tajemnicę sprężyny jej ruchu. Homer np. oddaje treść psychiczną swych postaci głównie ze strony emocjonalnej i czynnej. Nawet gdy podnosi rozum takiego Odyseusza, nie stara się wykazać jego głębi, ale kładzie nacisk na energję, pokonywającą trudności praktyczne.

„Epopeje indyjskie, jak słusznie mówi Carrière, olśniewają bogactwem obrazów bujnych i poplątanych, niby zwrotnikowa roślinność. Te ozdoby i upiększenia nadają raczej wartość przedmiotom, aniżeli je rysują, jak to robi Homer za pomocą malowniczych epitetów. Łącznie z akcją

[1]) Patrz: Tom I. „Dziejów literatury powszechnej“ Warszawa 1888, nakład S. Lewentala. „Literatura Grecka“ przez Kazimierza Kaszewskiego str. 40.

[2]) „Poésie Héroique des Indes“ par Z. G. Eihoff. Paris 1860 str. 176.

rozwija się nietylko opis, ale i refleksje, rozmyślnie przezeń wywołane, co nadaje eposowi indyjskiemu oryginalną głębokość i bagactwo myśli.“ Refleksje te jednak mają charakter moralny, albo metafizyczny, zgodnie z naturą umysłów, zatopionych w marzeniu o bycie umysłowym. Ale nigdzie w epopejach pierwotnych, nawet indyjskich, nie spotkasz tego, co nazwał Słowacki „kwilącą serc dyssekcją“. To właśnie stanowi ich cechę gatunkową, w przeciwieństwie do całej gałęzi belletrystyki nowszej, która uprawia subtelną analizę najdelikatniejszych drgnień i nastrojów duszy.

W poematach Homerowych podziwiamy największe w literaturze mistrzostwo plastyki przedmiotowej, która wypływała z rdzennych właściwości umysłu greckiego w danej epoce. Chociaż budowa poematów ma błędy i dysproporcje, lecz artyzm epicki w tonie swym jest podobny do jednolitego spiżu rzeźby starożytnej. Naśladowca Homera, Wirgiljusz, nie utrzymał się w tym tonie, mieszając do opowieści własne uczucia i wrażenia, sądził czyny ludzkie, wyrzekał na okrucieństwa losu w apostrofach zwykle bardzo patetycznych. Patetyczność tę spotęgował Fr. Wężyk w polskim przekładzie.

Z poetów nowożytnych jeden tylko Göthe w „Hermanie i Dorothe“ świadomie naśladował spokój i rzeźbioną plastykę Homera, stworzył dzieło mistrzowskie, pod względem formalnym. Pomimo wysokiej piękności tej sielanki epicznej, znać w niej sztuczność i dociąganie treści nowożytnej do form antycznych. Opisując w formie homerycznej życie średniego mieszczaństwa niemieckiego, Göethe musiał stylizować, wpadał chwilami w ton powagi akademickiej. Mówiąc nawiasem, tym akademizmem grzeszą nowsi poeci i dramaturgowie niemieccy, ilekroć dotykają tematów, poczerpniętych ze starożytności klasycznej. Heblel w tragedji „Gyges i jego pierścień“, Grillparzer w tragedjach „Safo“, „Fale morza i miłość“, Halm w dramacie „Szermierz z Rawenny“, Wilbrandt w tragedjach „Neron“, „Arria i Messalina“, wreszcie Hamerling w poemacie „Ahaswerus“, żaden z nich nie może wpaść na ton właściwy, szczery, ale każe figurom swoim rozpływać się w retoryce, stąpać na koturnach, strzegą się pilnie, aby jaki grek lub rzymianin, nie powiedział czasem paru słów naturalnie. Göethe w „Hermanie i Dorocie“, pomimo formy klasycznej, rozwija jednak dużo prawdziwej charakterystyki ludzi i wypadków, ujętej w ramach skończonej harmonji. Dziwnie jednak wygląda, gdy w poemacie tym żona właściciela zajazdu heksametrem mówi o pierzynach, bieliźnie i szlafroku swego męża. Tak samo jakby, kto kładł hełm grecki, zamiast szlafmycy na głowę pana oberżysty.

Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, zupełnie tak samo, jak poemata Homerowe, grzeszy błędami budowy, ale w epizodach rozwija całą potęgę epickiego genjuszu. Przerósł on o całą głowę „Hermana i Dorotę“, ponieważ nie naśladował sztucznie żadnego stylu, żadnej techniki artystycznej. Wziął urobioną już przedtem formę wiersza trzynastozgłoskową i nadał mu nieznaną przedtem prostotę, naturalność, taką rozmaitość spadków i odcieni artystycznych. Wiersz „Pana Tadeusza“ ma się tak samo do aleksandrynów, które sztucznie piłowali klasycy, jak mowa człowieka szczerego, pełnego werwy i zapału, do mowy pedanta, lub salonowca, krępowanego w każdem słowie pętami konwenansu.

Krytycy i komentatorowie, zwłaszcza H. Zathey i p. Biegeleisen, wykazali już całe bogactwo epiki i opisowości Mickiewiczowskiej, wydobyli z niej wszystkie klejnoty i grudki szczerozłote.

Według mnie potęgę i bogactwo plastyki w „Panu Tadeuszu“, zawdzięczać należy przedewszystkiem, niezmiernej świeżości wyobraźni i niesłychanej pamięci, dzięki której poeta z głowy tak pisze, rzeźbi i maluje słowami, jakby to robił z modelu, ze szkiców, chwytanych na gorąco. Pisząc „Pana Tadeusza“, Mickiewicz, jak wykazał p. Bruchnalski — ulegał nietylko wpływom Homera, ale także Wergilego i Tassa, co widać w pewnej liczbie pojedyńczych zwrotów.[1]) Pomimo tych wpływów realizm Mickiewicza ma wdzięk i swobodę poezji samorodnej, i różni się od metodyczności dzisiejszych powieściopisarzy, budujących opisy na podstawie sumy systematycznie zbieranych szkiców i notatek.

Wyobrażam sobie każdą głowę twórczą, jako rodzaj wielkiego zbiornika o wielu piętrach i pokładach, w którego głębi spoczywają nietylko ogniwa pojedyńczych wrażeń, ale całe już łańcuchy obrazów i skojarzeń myślowych. Podczas procesu twórczego intuicja działa szybko, jak myślenie skrzydlate. Nie potrzebuje ona spajać odrębnie każdego ziarnka i cegiełki, ale ma jakby gotowe okna, ściany, drzwi, kapitele i filary do nowej budowli. Piękność dzieła zależy nietylko od tej energji kojarzącej, ale od materjału, nagromadzonego przez artystę. Nieporównana piękność „Pana Tadeusza“ stąd płynie, że poeta opiera się na wrażeniach młodości, odbitych w umyśle wszechstronnie wrażliwym, jak najczulsza płyta fotograficzna, chwytającym kształty, ruchy, barwy, odcienia, dźwięki i to w sposób nie rozdrobniony, ale syntetyczny, albowiem obrazy łączą się z uczuciem i nastrojem, wywołanym w duszy poety. Odbicia są wierne o barwach, spotęgowanych przez tęsknotę i miłość kraju, a kojarzą się ze sobą w organicznym ruchu. Tak samo wielka ciemnia optyczna, ustawiona na miejscu wyniosłem, na małej przestrzeni odbija mocno kolorowe, a ruchliwe widoki sze-

---

[1]) Reminiscencje w „Panu Tadeuszu“ z Homera, Wergiljusza i Tassa przez W. A Bruchnalskiego. Pamiętnik Tow. literackiego imienia A. Mickiewicza 1888 r. Pod Redakcją Romana Pilata.

rokiej okolicy. Poeta chował w duszy cały drogocenny skarb wspomnień młodzieńczych, a wydobywając go z siebie, starał się nie przygasić żadnej barwy, nie rozwiać żadnego uroku. Dla tego obok arcydzieł opisowości w wielkim stylu, są w „Panu Tadeuszu“ ustępy bardzo piękne i mniej piękne, ale niema chybionych, nieszczerych, zamazanych w rysunku i spłowiałych w kolorze. Nie starał się Mickiewicz o styl niepokalanie epiczny na wzór Homera, wtrącał od siebie uwagi i refleksje, wypowiadał parę razy własne uczucia w sposób niezmiernie ciepły i serdeczny. Jako poeta nowożytny, nie chciał podszywać się sztucznie pod antyczną plastykę, ani wykuwać form niepokalanie pięknych, ale chłodnych.

Ceniąc utracony kraj lat dziecinnych, oddaje jego przyrodę i całe bogactwo życia z tym poetycznym realizmem, na jaki nikt po Homerze przed nim się nie zdobył. Począwszy od burzy, krającej niebo gzygzakiem piorunów, od szumu drzew puszczy odwiecznej, od wrzawy i ruchu bitwy, dyszenia zabitego na łowach niedźwiedzia i czarownej muzyki rogu wojskiego, aż do bitwy wróbelków, które Zosia nakrywa ręką, do gotowania bigosu, do walki z mrówkami, zbierania grzybów lub opisu potraw na uczcie, wszystko tu żyje, ma właściwą barwę, ton odrębny, nastrój i barwę wyrazistą. Nie należy tego bogactwa sądzić ani klasyfikować wedle starych szematów, jak to czynią niektórzy krytycy.* Te pęki i girlandy świeżych kwiatów, to niewyschłe zioło aptekarskie, które się kładzie do szufladek z napisami: liryka, podmiotowość, przedmiotowość, forma klasyczna i t. d. Jako artysta Mickiewicz istotnie w dziewięciu dziesiątych częściach poematu, jest wielkim epikiem, rozwija prostotę i spokój opowiadania, nie wpada ani razu w styl podrabiany.

Przekraczając jednak sferę ciasno pojmowanej epiki, potrąca czasem o dramatyczność, jak np. w arcyscenie spowiedzi Jacka Soplicy, ale tu zamiast analizy oddaje stronę emocjonalną, przedśmiertne pasowanie się duszy, jej wzloty, porywy i omdlenia, bóle ostre, wysiłki konwulsyjne i chwile łagodnego ukojenia.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Józef Kotarbiński.

Pobratymstwo u Serbów.

Opracował J. V. Lego.

W starożytnem mieście Mostarze żył poturczeniec, Spaho Spaicz. Straszny to był człowiek! Cała okolica drżała przed nim. Bali się go nawet Turcy, ba, sam ali-pasza Stoiczewicz unikał z nim spotkania. Najbardziej jednak dawał się we znaki chrześcijanom; mordował ich bez cienia powodu i przywłaszczał sobie — jeżeli tylko mógł — mienie zamordowanych. Chrześcijanin — przy spotkaniu z nim na drodze publicznej — musiał jak najspieszniej zsiadać z konia i szukać schronienia w najbliższych gdzieś zaroślach, w przeciwnym bowiem razie, bykowiec renegata spadał mu na plecy, głowę, piersi, rozcinając skórę aż do krwi, niekiedy zabijając na śmierć, — ten zaś, co próbował bronić się, niewątpliwie życiem przypłacał swe zuchwalstwo. Imię agi tak głośną miało sławę, że matki uspakajały dzieci groźbą: »Cicho, cicho bądźcie! Spaho idzie!«

Wychodząc z domu, Spaho uzbrajał się zawsze w pistolet i szablę, brał bykowiec do ręki, a przez ramię przewieszał sporą butlę gorzałki. Sam jego widok wzbudzał lęk: średniego wzrostu, krępy, muskularny, grubą miał szyję i długie wąsy; z pod rozwartej zawsze koszuli wyglądała pierś, obrosła jak kora starego dębu, a siłę rąk pozwalały ocenić zakasane powyżej łokci rękawy. Odpowiednio wytresowany jego rumak, odzywał się głośnem rżeniem na widok jakiegoś obcego konia.

O cztery godziny drogi od Mostaru, znajduje się chrześcijańska wieś Gorańce. W wiosce owej mieszkał Grgo, na którego Spaho oddawna krzywem patrzał okiem, może dla tego, że cała Hercogowina znała Grga, jako dzielnego junaka, co się nic a nic Turków nie boi. Owóż pewnego razu Spaho spotkał Grga i zbił go srodze. Grgo przecierpiał ból i wstyd, zaciął tylko zęby i nie wspomniał ani żywej duszy o zajściu. Wkrótce potem Spaho wybrał się znowu do Goraniec, a przypadek zrządził, że i Grgo tegoż samego dnia jechał do sąsiedniej wsi na poświęcenie domu do przyjaciela. Wystroił się na uroczystość jak mógł najlepiej: wziął kosztowne odświętne suknie, zatknął za pas błyszczące pistolety, przez ramię przewiesił strzelbę i pleciony bat, poczem ognistego dosiadł rumaka. Jedzie sobie drogą spokojnie i wesoło, wtem słyszy dzikie rżenie i domyśla się, że grozi mu znowu nieuniknione ze Spahą

spotkanie. — »Cóż teraz będzie?« — zapytuje sam siebie i wnet odpowiada: »Nie dam się mu, nie dam, choćby jeden z nas miał paść trupem!«

Spaho, widząc, że Grgo nie zsiada, zdarł konia, zamierzył się bykowcem i wrzasnął: »Z konia, chrześcijaninie, z konia! A cóżto, zapomniałeś, jakem ci wówczas wsypał?« Ale Grgo odpowiada spokojnie: »Rumak, którego dosiadam, jest moją własnością, nie wyrządzam ci przeto żadnej krzywdy, siedząc na jego grzbiecie. Pozostaw-że mię w spokoju, miły ago, i jedź dalej swoją drogą!«

Wściekłym gniewem zawrzał ago, słysząc taką odpowiedź i rzucił się z podniesionym bykowcem na Grga, lecz ten w mgnieniu oka zeskoczył z konia, stanął za pniem drzewa i biorąc na cel napastnika, zawołał grzmiącym głosem, powtarzając rozkaz Spahi: »Z konia ago, z konia!« Spaho osłupiał, w pierwszej chwili sądził, że Grgo żartuje, zapytał więc łagodniej: »No i czegoż chcesz, chrześcijaninie?« Ale Grgo nie spuszczając lufy, krzyczy jeszcze groźniej: »Z konia, a żwawo, bo strzelę!« Spaho zrozumiał, że tu niema żartów i gdy usłyszał suchy trzask odwodzonego kurka, zeskoczył z konia. Lecz zaledwie dotknął ziemi, Grgo woła nań, aby wsiadł. Wścieka się ze złości ago, lecz cóż miał począć? Usłuchał — a gdy znalazł się w siodle, zabrzmiał znowu rozkaz: »Na ziemię, ago, na ziemię!« — Powtarzało się to dziewięć razy, — dziewięć razy Grgo spędzał z konia swego prześladowcę. — Wyczerpała się nareszcie cierpliwość Spahi, i dumny aga zawołał, zwracając się do Grga: »Da si mi po Bogu brat na obadva světa, ili me se prodji, ile me ubij!« (Jeżeliś mi brat po Bogu na tym i na tamtym świecie, to albo mię puść, albo ubij!) Na to Grgo, nie wychodząc z za drzewa i nie spuszczając strzelby: »I ja czczę Boga, więc ci przebaczam; ale musisz dać mi słowo, że odtąd nie będziesz prześladował chrześcijan, że przy spotkaniu nie każesz im przed sobą z konia zsiadać.« A gdy Spaho uczynił zadość jego żądaniu, Grgo, wciąż stojąc za drzewem, jął podpowiadać mu po turecku przysięgę, którą tenże słowo w słowo powtarzał. Złożona przysięga uczyniła ich pobratymami. Turczyn pojechał dalej swoją drogą, Grgo zaś pokłusował do przyjaciół i znowu nie zwierzył się przed nikim z tego, co zaszło między nim a Spahą.

Upłynął rok. Grgo przez ten czas ani razu nie był w Mostarze. Obawiał się zemsty ze strony agi. Ale wkońcu postanowił położyć kres niepewności. »Pójdę do Mostaru — rzekł sam do siebie — niech będzie, co ma być!« I wystroiwszy się pięknie w kosztowne suknie, dosiadł rumaka i przybył szczęśliwie do Mostaru. Tam chodzi po rynku i załatwia sprawunki, gdy wtem ktoś uderza go z tyłu po ramieniu wołając: »Witam cię, pobratymie!« Grgo odwraca się i widzi przed sobą Spahę, uzbrojonego od stóp do głowy. W pierwszej chwili ścisnęło mu się serce, wnet jednak opamiętał się i odparł grzecznie: »Daj ci Panie Boże szczęście, ago!« Ale Turek żywo zaprotestował: »O jakim to adze mówisz? Daj-że spokój tym głupstwom! alboż to nie jesteśmy pobratymami?« Widząc szczerość w zachowaniu się agi, Grgo pozdrowił go po pobratymsku. Poczem Spaho zabrał go ze sobą do domu, wyprawił na jego cześć wspaniałą ucztę, podczas której Grgo siedział na pierwszem miejscu przy stole, potem przez ośm dni gościł go jeszcze u siebie, a przy pożegnaniu podarował mnóstwo pięknych rzeczy, przeznaczonych dla niego samego, dla domowników i krewnych. W ostatniej zaś chwili żona Spahi ofiarowała mu jeszcze piękną koszulę, spodnie i inne drobiazgi. Nakoniec Spaho wywiódł sam ze stajni swego wronego i dosiadłszy go, odprowadził pobratyma wraz z gronem przyjaciół do połowy drogi, śpiewając i strzelając na wiwat.

Wróciwszy do domu, Grgo opowiedział domownikom o tem, co go spotkało, a tamci nie mogli się dość nadziwić opowiadaniu. W ośm dni później Grgo wybrał dwa najpiękniejsze woły ze swego stada, okrył je czerwonem suknem aż do ziemi, nanizał im na rogi cztery złocone jabłka i posłał do Mostaru w darze pobratymowi.

Od tego czasu żyli ze sobą w najszczerszej przyjaźni, niby bracia rodzeni i odwiedzali się często, a Spaho Spaicz nie znęcał się już nigdy nad chrześcijanami.

Spolszczyła *M. W.*

Komissja śledcza warszawska z r. 1863.

*) (Wyjątek z pamiętnika.)

Jakoż ruszył się ksiądz, a i w kościele ten i ów ku wyjściu zmierzał, co zauważył widać, bo usłyszano od ołtarza nagle:

— »Widzę że się zabiera na wychodzenie z kościoła. Aby nikt niewiadomością tłómaczyć się nie mógł, uprzedzam z góry, że będę śpiewał »Te Deum«, a tym, którzy by jeszcze po-

tem wyjść chcieli, przypominam, że mam wzrok dobry, a połowę przynajmniej mieszkańców tego głupiego miasta znam z widzenia i z nazwisk, więc kto sobie biedy napytać nie chce, niechże mi z całem nabożeństwem pozostanie do końca i potem jeszcze poczeka, bo ja mam słów parę od siebie jeszcze dodać, które chcę, żeby słyszeli wszyscy«.

Odśpiewał »Te Deum«.

Następnie odwrócił się od ołtarza i zaczął:

»Znowu słyszę, że się mądry Piotrków bardzo gorszy, że ja, ksiądz, z racji święta dworskiego wywiesiłem transparent oświetlony przed kościołem. Tak jest, wywiesiłem! I cóż z tego? Ja mojego monarchę kocham i nie zapieram się tego, a z łotrów, Mierosławczyków, rewolucjonistów wszelkich jak drwiłem dotąd, tak i drwić będę na przyszłość. Proszę jednak, żeby mi tych gawęd, ubliżających mojej powadze kapłańskiej, zaprzestać, bo jak się dowiem z boku czegokolwiek, to możecie mieć nieprzyjemności. Amen!«

Nie biorąc w rachunek żadnych względów, co do których zdania mogłyby być podzielone, wydziwić się nie można lekkomyślności władz, które się taką jednostką posługiwać odważyły. Bo jeżeli szło o to, żeby słowa jego wywierały wpływ, to chyba prozelitów nie jemu było zjednywać, a jeżeli nie szło o to, to o co szło?

Powtarzamy: z punktu widzenia czysto oficjalnego była to i lekkomyślność i niezdarność karygodna.

Skończył ksiądz, ludność poczęła się rozchodzić, zniechęcona i oburzona, bo jużci niezwyczajna to rzecz usłyszeć od ołtarza groźbę denuncjacji, i to u nas, w kościele, gdzie ten lud udręczony przychodził szukać ulgi i zapomnieć o warunkach bytu, które z dnia na dzień się pogarszały.

Była też i u przybyłego chwila wahania, czy poruszać tego ohydnego człowieka, czy gdzieindziej szukać ratunku, ale po to się tu przyjechało, trzeba się było usprawiedliwić z niedopełnionej missji, i jakże się tłumaczyć wyjątkową nikczemnością, o której się tyle już przedtem słyszało? No i w pół godziny potem pukało się do drzwi mieszkania; jeszcze trochę trudności w dostaniu się, trochę parlamentowania przez owego zakrystjana i nakoniec wpuszczono przed oblicze.

Prezentacja, trochę komunałów, a wśród tej wymiany, ciągłe nerwowe obzieranie się księdza i ukradkowe, niedowierzające spojrzenia, które zdawały się jedynie do tego zmierzać, czy mówiący do niego bierze rzecz serjo, czy też będąc grzecznym, drwi tylko z gospodarza domu.

Następnie rozmowa, objaśniająca cel przybycia, uwięczona została skutkiem pożądanym, a w końcu przy cygarze zawiązała się poufała gawędka. Ponieważ gość przybywał z Warszawy, a pod Warszawą jest cytadela, gdzie najmilsze wspomnienia uwięzione miał ksiądz, jak na kotwicy, więc nastąpiły wypytywania o osobistości powyżej wymienione, a zwłaszcza o Tuchołkę. Kiedy zaczął mówić o Tuchołce, nie mógł, widać, tak prędko przestać, bo oto opowieść jego własna, w której niewiadomo, co więcej podziwiać: zbrodniczość tego wynaturzonego człowieka, czy jego głupotę.

— »Powiadam panu, mówił, że poczciwy jenerał mało kogo zaszczycał takiem zaufaniem, jak mnie. Prawdę powiedziawszy, i ja oddałem mu usługi nieladajakie, ale przyznać muszę, że nie trafiłem na niewdzięcznego. Ot naprzykład, proszę posłuchać o wypadku, który dobre stosunki między nami w rzeczywistą przyjaźń zamienił.

»Nie takie to proste bywały owe sprawy w cytadeli, jakby się komu zdawać mogło. Czasem trafił się zbrodniarz tak zatwardziały, że z żadnej strony do niego przystępu nieznaleźć, bo i twardy i przebiegły. Na jednego takiego trafił nasz jenerał między innymi i oto jak się rzecz odbyła.

»Pewnego popołudnia wezwał mię do siebie. Przybywam i zastaję biedaka w stanie takim, że tylko płakać nad nim. Zaledwie dał mi czas na powitanie i zaczął mówić prędko, gorączkowo, jak to u niego było we zwyczaju.«

— »Słuchaj, ks. Zaleski, z tego ambarasu, w jakim jestem dzisiaj, już chyba ty jeden wyprowadzić mię możesz. Trzy miesiące pewien łotr trzyma mię w szachu swoim uporem. Na jego zeznaniach zawisło wykrycie sprawy nadzwyczaj ważnej, głośnej, którą, choćby niewiedzieć co przyszło przedsięwziąść, rozwikłać trzeba. Reszta współwinnych, tych, rozumie się, którzy są w kraju i więzieniu, chyba naprawdę niewiele wiedzą; wie on, przekonany jestem że wie, ale dobądź-że z niego!

— »Czy próbowano już środków ostrzejszych?«

— »Dajże święty pokój z twemi pytaniami! Cóż to! myślisz, że czekałem, aż ty mi przypomnisz o tem? Wszystkiego już próbowano!«

»Milczeliśmy oba.«

— »Chyba ty mi dopomożesz, bo już głowę tracę. Dwa razy przy raporcie pytał sam namiestnik, jak rzeczy stoją, dziś byłem w zamku, zapytał po raz trzeci. Odpowiedziałem, co można było; nie zrobił mi wyrzutów, uśmiechnął się ironicznie. To dosyć. Teraz czas przedwielkanocny, jeśli ty nie potrafisz nakłonić go do spowiedzi, ja muszę być skompromitowany.«

— »Do spowiedzi — do spowiedzi — powtórzyłem z niechęcią. Niby to pan jenerał nie wie, jakie to pokolenie bezbożne.«

»Tak mówiłem, ale w gruncie rzeczy nie byłem bez nadzieji, boć to przecie człowiek, miał już z tymi zbójami w cytadeli pewne doświadczenie, ale nie wypadało obiecywać odrazu, bo nuż!....«

— »Czy to o zabójstwo chodzi? — zapytałem.«

— »Niekoniecznie o zabójstwo, ale może to mieć łączność z zabójstwem pewnem, a klucz do tego ma on.«

»Tu zaczął się gniewać, bo jak wiadomo, niecierpliwy był i unoszący się.

»Wywiedziawszy się o co chodzi, pożegnałem biedaka, wskoczyłem w dorożkę i kazałem się wieść do cytadeli. Po drodze wstąpiłem do kancelarji, zapytałem, czy niema do niego przesyłki jakiej. Była i przesyłka i list, co ja odrazu za dobrą wróżbę sobie uważałem. Wziąłem list, przeczytałem. List był od matki. Ludzie jacyś biedni, z tego, co ona pisała, widać, że on ją utrzymywał. Zaklinała go, żeby życie ocalił dla niej, że przecież i z Syberji ludzie powracają, że ona cierpi bardzo nad tem, że go widzieć nie może i błagała, aby jeśli bez uszczerbku dla przekonań swoich może zrobić, żeby ją wpuszczono do niego, to doznałaby pociechy wielkiej, bo radaby na wszelki wypadek pobłogosławić go.«

»Wziąłem list i kazałem zaprowadzić się do niego.«

(Dokończenie nastąpi.)

8) # ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Dlaczego człowiek nadał Mefistofelowi postać ludzką, nie lisią? Czyżby uznawał, że w przewrotności lis człowiekowi nigdy nie sprosta?

Ale zające morzelańskie musiały chyba przed Kitą odczuwać taką samą trwogę, jaką chłop zabobonny odczuwa, wyobrażając sobie djabła w ludzkiej postaci. Jednakże djabeł płata ludziom po większej części figle tylko i to zwykle pijakom; lis, gdzie się pokaże, popełnia kradzież, zabójstwo, — czysty Rinaldini morzelański!

Onego czasu, kiedy to było polowanie z naganką, Malwa na stanowisku tak nieznacznie przywarł do pniaka, że Kita wyszedł na strzał, a po strzale padł i leżał na murawie martwy. Strzelec poskoczył żwawo — że to z lisem miał do czynienia — chce go jeszcze kolbą w łeb zajechać, wtem Kita się z ziemi porywa — i tyle go Malwa widział.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wybełkotał pobożny strzelec, spoglądając przestraszonym wzrokiem w gąszcze leśne, gdzie mu Kita zniknął szybko, jak błyskawica.

Na polowaniach znowu z ogarami ten sam lis, albo psy zmylił i wyjechał w pole, albo im taką sztukę wypłatał, że nagle ucinały i przystawały wśród zapalczywej gonitwy, nie mogąc wiatru odszukać.

— Któż tam może wiedzieć, co on zrobił? — mówił wtedy Malwa do myśliwych, zarzucających go pytaniami. — Ma on różne swoje kawałki: czasem przesadzi jedną, drugą kłodę, albo nawet na jakie pochyłe drzewo wskoczy, przycupnie, a głupi ogarzyna nosem po ziemi powłóczy i goni dalej, nim zmiarkuje, że próżna jego praca.

W Morzelanach Kita był graczem i jakim jeszcze!... Przez dwanaście lat z górą walczył o kawałek chleba z ludźmi i ich żołdakami, psami, a czynami swemi zdawał się przemawiać: „Bierzcie wy się na sposoby, ja żyć muszę i rodzinę swoją wyżywić!“

Człowiek zabija zająca, ale go lubi — poczciwego zajączka widzi nawet na księżycu; lisa „chytrego szelmę“, prześladuje z ogniem nienawiści w duszy. Ha, bo się zeszli obaj w pożądaniu mięsa! Ztąd walka zacięta, w której prowadzeniu dzikie, na zagładę skazane zwierzę, wykazuje stosunkowo więcej talentu, niż przemożny wróg i współzawodnik.

Sumienie nigdy nie robiło Teterze wyrzutów za trucicielstwo i skrytobójstwo, popełniane na lisach, które niewątpliwie mają prawo życia. Mają, tylko zjadają zadużo mięsa, a przytem futro ich popłaca. Jak to przyjemnie zabić i mieć miłą pociechę: „Spełniłem dobry uczynek!

Zgrozą przejmowały poczciwego Malwę znalezione liczne kości w rozkopanej jamie, gdzie Kita założył był sobie rodzinne ognisko, a trzeba mu oddać sprawiedliwość — był to doskonały ojciec i nienaganny małżonek. No, ale przecież takich spraw prywatnych nikt nie uwzględnia, gdy chodzi o skończonego łotra i rozbójnika.

Zobaczmy, co Malwa znalazł w jamie lisiej! Oto w brudzie tej jamy poniewierał się kawałek kości łonowej z gęsi, którą ten dobry lis-ojciec ukradł rodzinie dworskiego stangreta Józefa. Wielki Boże! kogóż wówczas nie posądzano o kradzież tej gęsi. A duża, tłusta gąska była. Strzelec odłożył na bok rydel, ukląkł, aby się lepiej przyjrzeć wykopaliskom i wpadł w filozoficzną zadumę — zwyczajnie, jak człowiek wśród kości. Miał oto nadzieję, że Kicie zabierze z jamy dzieci, gdyż pan rządca kazał; tymczasem lisy przewidziały, czy co i Malwa znalazł tu tylko kości.

Doznany zawód napełnił jego duszę goryczą, a gorycz bardzo sprzyja różnym filozoficznym poglądom.

„Mój Boże, co tu mięsa przepadło!“ — poszepnął strzelec z westchnieniem. — „Drugi się napracuje, a przez całe życie nie powącha tego.“

Mówiąc to, gmerał palcami w rozkopanej ziemi, wykopywał kostki ze stosu kręgowego zająca, to znowu strugi czyli zęby zajęcze, które może lisiątkom służyły do zabawy. Indziej dała się widzieć potężna kość udowa indyka, skradzionego o zmierzchu na dziedzińcu plebanji. Oj, dostał też wtedy basy Burek!... Łotr kradnie, niewinny odbiera karę. W gruncie rzeczy jest to wszystko jedno, gdyż chodzi o napiętnowanie złodziejstwa wogóle przez pewną ilość kijów: sprawiedliwość wogóle ma zadosyćuczynienie. Lis podbierał zające z wnyków Tetery, a kłósownik walił za to syna Franka: jest to pedagogika i jurysprudencja przyrody, w której ilość siły i materji jest zawsze taż sama. Co się tyczy Burka, wszyscy na tego psa podszczuwali: „Nikt — jeno on zeżarł indyka — szkodnik zwleczony!“

Oprócz wymienionych kości, Malwa wydobył obojczyk koguta dworskiego, który raz nad wieczorem wskoczył był właśnie na płot, aby pianiem dzień pożegnać, kiedy go nagle ktoś za gardło chwycił, ścisnął i pieśń kogucia zamarła w piersi. Kradzież tego rozkosznego koguta przypisała szafarka dworska żydom sadownikom. „Głowę sobie dam uciąć, że żydzi!“ Tak jest, żydzi są winni zawsze! Nawiasem mówiąc, szafarka była antysemitką i żydom przypisywała wszystko złe na świecie.

Ale któżby zdołał wyliczyć rozmaite szczątki znalezione w lisiej jamie?... Kolce jeża, kawałek ogona wiewiórki, pierze z kaczek, kur, skowronków, czajek, kuropatw, derkaczów, przepiórek. Bo Kita nie przebierał: co na placu, to nieprzyjaciel. Trudnił się widać i rybołówstwem, jak świadczyły ości rybie, znalezione w jego jamie. Jakże tu ludzie nie mają walczyć z takim zjadaczem?

Strzelec Malwa brał się za głowę na widok tylu odpadków kuchennych.

„No, no, proste zwierzę, a żyje sobie lepiej, niż człowiek“ — mówiąc to, miał na myśli „człowieka“, brata Teterę.

Na jesieni, w zimie, kiedy po lasach, polach, zbrakło ptaków i gniazd ich, lis bardzo zuchwale docierał do chat i dworu. Ztąd to pochodziły owe nieustanne historje o tajemniczych złodziejach gęsi, kur, kaczek. Jeden tylko pan Kacper, szafarz dworski, nie bardzo coś dowierzał takim historjom, a kiedy zbadał rano tropy na śniegu, wymrukiwał pod nosem: „Lis złodziej!“ Kradzieże powtarzały się, co szafarza utwierdzało w przekonaniach. Czyścił, polerował wtedy żelaza, przysposabiał odwiatry, obwłóczki, trutki, podług rozmaitych metod, usiłował lisa znęcić i złowić. Mały z tego bywał pożytek: Kita zjadał w nocy porozrzucane smaczne grzanki, a nigdy nie tknął trutki, ani też przynętą nie dał się zwabić w żelaza. Czasami inny jakiś, głupszy lis padał ofiarą; ale w takim razie Tetera uprzątał zdobycz, on tu był królem nocy. Szafarz morzelański działał po ludzku, mądrze i chytrze, z góry wiedział, że z mądrem, chytrem zwierzęciem ma do czynienia; lisa nie podszedł, a pracował dla kłusownika.

(D. c. n.)

Lili.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

— Dlaczego pan mnie unika, co? — zapytała prosto.

— Ja? ależ nigdy nie unikałem pani, dlaczegóż-by? — Czuł się mocno pomieszany.

— Byłam zła na pana, ale za dzisiejsze przyjście wszystko panu daruję. No, niech pan przeprosi mnie. Podała mu obie ręce do pocałowania, ale on nie pocałował, tylko uścisnął mocno. Wyrwała je gniewnie i podniosła się z kanapki, zapaliła świece przed tualetą i najspokojniej, jakby nikogo nie było w pokoju, rozpuściła włosy, które ją okryły, niby płaszczem, i zaczęła się czesać.

— Do widzenia, pani! — zawołał porywczo, widząc, że sobie z niego nic nie robi.

— Jakto, już pan ucieka?

— Ja nie mam czasu, a przytem nie chcę pani przeszkadzać. — Skinął głową i szedł do drzwi.

— Odchodzi pan, czyżby się pan mnie bał? — zawołała za nim ironicznie.

— O, pani dla mnie nie jest niebezpieczną — odpowiedział zirytowany, wychodząc. Już był w pustym, ciemnym, zastawionym koszami z garderobą pokoju, przez który się przechodziło do sieni, gdy usłyszał za sobą skrzypnięcie drzwi i szept:

— Panie Leonie!

Zatrzymał się zdziwiony; ale nie miał już czasu odezwać się, bo mu jakieś namiętne, gorące usta zawisły na ustach.

— Dlaczego mnie unikasz? Kocham cię, słyszysz?... Czy nie widziałeś tego? nie czujesz?... Chcesz, to rzucimy tę budę i wyjadę z tobą do innego towarzystwa ... Musisz być moim, tylko moim... kocham cię!

Szeptała urywanie, namiętnie i osypywała gradem pożerających pocałunków jego twarz, głowę, szyję, ręce. Nie opierał się jej wcale i zaczął oddawać pocałunki. Był tak onieprzytomniony, że kilkakrotnie, wśród szeptów, mówił do niej: »Lili!« Nie słyszała tego, porwana szaloną burzą namiętności.

Wyrwał się wreszcie z jej ramion i uciekł.

Długo stał na ulicy; dopiero mróz przyprowadził go do równowagi i oprzytomnił.

I zalał go wielki żal do siebie, do własnej słabości; wstyd mu było, że dopuścił do takiej sceny. Złość go opanowała. Wytarł twarz jaknajstaranniej i chusteczkę odrzucił od siebie ze wstrętem i usiłował myśleć o Lili, tylko o Lili; ale pomimo to czuł ciągle pocałunki tamtej, paliły go usta, wstrząsał się w denerwującym dreszczu.

— Co robić? Gdzie pójść? — myślał, przypatrując się oknom, które po koleji ciemniały.

Naraz trzasnął w palce i poszedł śpiesznie do Korniszona.

Korniszon mieszkał w gmachu poklasztornym, rozsypującym się w gruzy. Klasztor stał nad rzeką, w wielkim, na pół umarłym ogrodzie, otoczonym wysokim murem, jeszcze dobrze zachowanym.

Zakrzewski przez otwór, który pozostał po bramie, wszedł do ogrodu. Ciszej tu było, niż na ulicy; wiatr nie szczypał w twarz, wielkie drzewa, pokryte osędzielizną, niby puchem, skrzyły się w świetle księżyca i stały w sennej ciszy, kładąc wydłużone, fantastyczne cienie na śniegu. Obszedł ogromny, z czerwonej cegły kościół, podparty potężnemi szkarpami, i zapuścił się w długie, czarne korytarze, pocięte smugami księżyca, które się wlewały przez wązkie zakratowane okna i lśniły na wydeptanej czerwonej posadzce z cegły. Cisza gnębiąca panowała w całym gmachu. Czasami zadrżał odgłos pękających od mrozu płotów, lub nietoperz przewinął się z łopotem nad głową, albo śnieg zsunął się z dachów i fontanną białej kurzawy dzwonił po oknach. Wielkie ascetyczne twarze mnichów, pokryte szronem, wychylały się czasami ze ścian w jaśniejszym rozblasku i jakby goniły oczami przechodzącego.

Przyśpieszył kroku, bo pootwierane drzwi do pustych cel wionęły na niego grobową atmosferą, a przytem usłyszał niewyraźne, splątane dźwięki śpiewów, płynące z mieszkania Korniszona, położonego w końcu korytarza.

Pchnął nizkie, zielone drzwi i znalazł się w wielkiej sklepionej izbie.

Korniszon, Olkowski i Feluś siedzieli przed ogromnym piecem z zielonych kafli, w świetle wielkiego, wesoło trzaskającego ognia, wybijali takt kijami i śpiewali, a przed nimi, na ławce, stała butelka wódki, chleb, kilka wędzonych śledzi i kartofle pieczone.

— Jak się masz, dziedzic? Ha! ha! ha! Wódzia jest, kartofle są, śledzie także, a jakże! Biba wigilijna, jak się patrzy! Siadaj! — wołał Korniszon, usiłując się podnieść.

— Siadaj! Trochę sobie pijemy, trochę śpiewamy kolędę z żałości, trochę gadamy i dobrze nam. Olkowski, nalej sznytki, za zdrowie dziedzica wypijemy i zaśpiewamy jaki chórek.

— Aha! Wódki już niema! Ha! ha! — śmiał się nieprzytomnie Olkowski, pokazując pod światło pustą butelkę.

— Feler, psiatwarz! Składka panowie! Co tam! raz pijem i raz żyjem! Co łaska panowie, do motji.

— Mam pół rubla, bierz pół rubla! Tak, przepiję pół rubla, tak, utop się! — mruczał pijanym głosem Feluś i po dziesiątce wykładał pieniądze na ławkę.

— Zakrzewski, postaw pan za mnie, bo groszem nie śmierdzę.

— Jak ochota, to niech djabli pół rubla wezmą, tak, po pańsku, tak!

— Ano dobrze. Mam dwa ruble, macie wszystko, niech djabli wezmą.

— A toś nasz, mój królu złoty! Daj pyska, to mi szlachcic prawdziwy! Zastaw się, a postaw się! Pijaństwo urządzimy, jak się patrzy. »Wina, wina, wina dzban — to mi radca, to mi pan!« — zaśpiewał nagle. — Olkowski psiatwarz, a leć no po sznapę, a śpiesz się, bracie, przynieś na przekąskę parę szkieł piwa!

— Zaczekajcie, zaraz przyjdę z paliwem! — zawołał Korniszon, wychodząc z Olkowskim. Powrócił po chwili z wielką żerdzią i zaczął ją toporkiem rąbać.

— Ja kochanemu proboszczowi nieco płotek rozgradzam, bo za wysoki, mógłby przy przełażeniu podrzeć sobie kapotkę. Ale, psiatwarz, jedną żerdkę na dzień, ani mniej, ani wiecej; u mnie wszystko musi być systematycznie.

Umilkł, nakładając w piec drzewa. Feluś w swojej manszestrowej almawiwie, której nigdy prawie nie zdejmował, siedział, zapatrzony ponuro w ogień, czasem pociągnął się za nos, powiedział bezwiednie: »Tak!« zrobił jaki szeroki, patetyczny ruch ręką i milczał. Zakrzewski rozmyślał o Szalkowskiej, spacerując po izbie, która niegdyś musiała być klasztornym refektarzem lub paradną do przyjęć salą, bo ilekroć ogień strzelił bujniej na izbę snopami czerwonych płomieni, w żebrach sklepienia ukazywały się resztki fresków, jakieś głowy brodate, aureole złote, kawałki purpurowych płaszczów i żółto malowane piekło, z którego zostały w całości tylko ręce potępionych, wyciągające się z zielonawych płomieni, to znowu kawałki tłumnych procesji, resztki białych mnichów ze złożonemi rękami.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana)